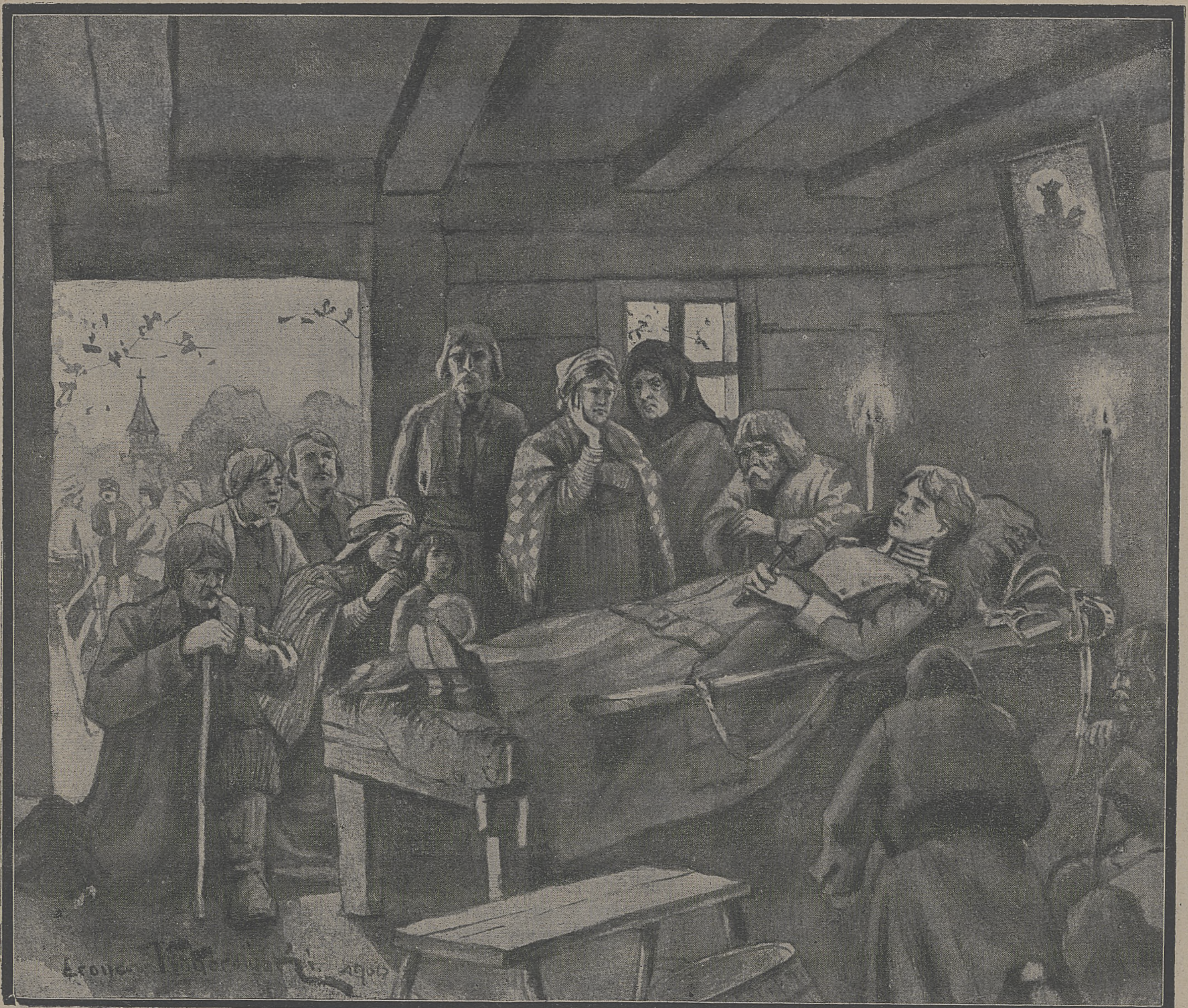
Rok 1900. Lwów, 25. listopada. Nr. 59.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * * **Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. II.**

Treść Nr. 59:

L. Winterowski.



SKON PUŁKOWNIKA.
(Do wiersza A. Mickiewicza).

...Na tapczanie on leży,
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka,
Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne, dziewicze ma lica!
Jaką pierś!... Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica bohater,
Wódz powstańców: Emilia Plater!

Polityka wszechniemiecka.

Niejaki p. Frantz, mianujący się patryotą „wielkoniemieckim“ (grossdeutsch) dla odróżnienia od szowinistycznych „wszechniemców“ (Alldeutsche) zajmuje się w ogłoszonem przed kilku dniami studyum Niemcami w Austryi i polityką Niemiec względem Austryi. Autor nie umie pogodzić się z szumnemi hasłami o misyi historycznej narodu niemieckiego, głoszonemi przy każdej sposobnosci przez cesarza Wilhelma, a powtarzanemi do znudzenia przez prasę wszechniemiecką i potępia stanowczo najnowszy kierunek polityki niemieckiej w granicach i po zagranicami Rzeszy.

Nazywa on marzenia o utworzeniu ogromnego państwa, któreby obejmowało wszystkie szczepy niemieckie, za mrzonkę, a sympatye Niemców austryackich dla Prus i dążność do przywrócenia monarchii Habsburskiej charakteru niemieckiego za trud próżny, a w skutkach niebezpieczny. Wszechniemcom chodzi o przyłączenie dzielnic niemieckich Austryi do Rzeszy. Ależ to byłby krok fatalny — oświadcza p. Frantz: „Jedno spojrzenie na mapę wystarcza, aby zrozumieć, że tych prowincyj nie możnaby utrzymać bez Czech i Morawy, bo państwo niemieckie przybrałoby wcale niemożliwe kształty geograficzne. Zabrać zaś Czechy i Morawę, znaczyłoby połknąć wielką kość i narazić się na udławienie“. Dlatego wszystko musi pozostać, jak ułożyło się w r. 1866, jeżeli nie mamy stawić wszystkiego na jednę kartę“.

Niemniej bezcelową jest dążność do zgermanizowania ludów słowiańskich Austryi. Jak bezowocna i szkodliwa jest germanizacya za pomocą środków przymusowych, wskazuje autor na W. Ks. Poznańskie i potępia przy tej sposobności w najdosadniejszy sposób „najnowszy kurs“ w polityce względem Polaków. „Przerobiono prowincye polskie poprostu na pruskie i chciano zniemczyć ludność tamtejszą. Było to postąpienie dzikie a bezmyślne. Postąpiono tak, jak gdyby narody te nie posiadały życia indywidualnego, lecz były tylko materyałem, przeznaczonym na to, aby dostarczać państwu rekrutów i podatków. Polityka germanizacyjna jest powtórzeniem tego samego błędu, którym była walka kulturna: zagrzewa tylko Polaków do oporu. Należy zaczekać na naturalny rozwój stosunków, a wtedy żywioł niemiecki, skutkiem swej wyższej kultury, nabierze większych wpływów. Przytem Niemcy powinni uczyć się języka polskiego, a zwłaszcza urzędnicy państwowi, bo rządzący powinni znać język ludów, którymi rządzą“.

W zastosowaniu do Austryi, wynika z tych uwag, że tamtejsi Niemcy powinni powstrzymać się od wszelkich prób pogwałcenia praw ludów słowiańskich, nie dążyć do odzyskania wpływów utraconych przez gwałt, lecz zbliżyć się do Czechów i innych ludów i pozyskać je przez wyższość swojej kultury. Zresztą dziś nie może już być mowy o tem, aby Niemcy odgrywali w Austryi taką rolę, jak przed laty. Teorya o charakterze niemieckim monarchii Habsburskiej jest anachronizmem. Stosunki zmieniły się już zupełnie, a stanu dawnego przywrócić niepodobna.

Umiarkowane pisma niemieckie podjęły dyskusyę nad sprawą poruszoną przez Frantz'a, i przyznają mu słuszność. „Wypadków z r. 1866 — pisze pomiędzy innemi „Köln. Volkszeitung“ — nie można skreślić z kart historyi, zwłaszcza, że huk dział na polach bitew w tym roku zwiastował narodzenie się prawie zupełnie samodzielnego państwa węgierskiego, które zabrało dla siebie wschodnią część monarchii Habsburskiej. Kto zaś wie, czy kraje korony św. Wacława będą długo jeszcze czekały na podobną samodzielność. Charakter niemiecki państwa zaginął na zawsze, i Austrya nie może być już strażą przednią państwa niemieckiego. Marzenia o przywróceniu stosunków przeszłości pozostawmy romantykom!“

Na nieszczczęście dla Austryi „romantyków“ takich jest bardzo wielu. Należy do nich większość narodu niemieckiego, a przedewszystkiem osobistości rozstrzygające o kierunku polityki. Nie potrzeba dowodzić szczegółowo, że przeprowadzenie programu wszechniemieckiego byłoby dla Niemiec nieszczęściem, ale w życiu narodów sąd logiczny odgrywa rolę bardzo podrzędną, a tem większą namiętność. Ztąd też przeważnie pochodzą nieustanne wahania w życiu narodów. W Niemczech, oszołomionych swoją wielkością, namiętne pragnienie coraz większych wpływów zabiło wszelką myśl polityczną, i zdrowe zasady, na których Bismarck ugruntował państwo, w części z jego własnej winy, ustępują coraz więcej miejsca fantastycznym zachciankom, wiodącym do ruiny. Z czterech zasad fundamentalnych trzy już upadły: trzymanie się zdala od wszelkich spraw, które nie obchodzą bezpośrednio Niemiec, zadawalanie się potężnem stanowiskiem na kontynencie europejskiem, i ostrożność względem Anglii, a staranne „utrzymywanie drutu“ pomiędzy Berlinem i Petersburgiem. Zasadę ostatnią osłabił cesarz Wilhelm przez niedawną umowę z Anglią.

Pozostała tylko zasada czwarta: utrzymanie sojuszu z Austryą i Włochami. Ale nie jest i ona już niewzruszoną. Sojusz chwieje się coraz więcej, i można przewidzieć chwilę, kiedy upadnie. A wtedy Niemcy będą miały ręce wolne i, sądząc z prądów nabierających coraz większej siły, nie będą przyglądały się obojętnie walce, która toczy się i będzie się toczyła w Austryi pomiędzy prusofilami a ludami słowiańskiemi. Powinni pamiętać o tem Czesi, ale i Czesi kierują się w swej polityce nie rozumem, lecz namiętnością.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawy austryackie.

Przeciwko gabinetowi p. Körbera zbierają się chmury. Prasa czeska coraz to silniej zwraca się przeciwko prezydentowi ministrów i coraz to wyraźniej dopatruje się w jego działaniu antiniemieckiej (?) tendencyi. Najostrzej zaatakowano gabinet, a głównie ministra sprawiedliwości p. Spens-Boden z okazyi dymisyi prezydenta praskiego sądu apelacyjnego p. Jansa. Młodoczeskie dzienniki twierdzą, że p. Jansa dymisyonował, nie chcąc być wykonawcą coraz to nowych ordynansów językowych ministra sprawiedliwości. Faktem jest, że zniesienie rozporządzeń językowych jednakże nie tykało wewnętrznego języka urzędowego w okręgach czeskich, bo wiedziano, że Niemcy sami przy każdej ugodzie gotowi są w tym kierunku do koncesyi. Nigdy jeszcze nie zaprzeczali Niemcy Czechom prawa do urzędowania po czesku w okręgach czysto czeskich i spór też nigdy o to się nie toczył. Przypuszczano przeto, że skoro Niemcy przez zniesienie rozporządzeń językowych otrzymali od nieszczęśliwej pamięci hr. Clary tak deleko idącą satysfakcyą, to w praktyce to jedno przynajmniej postanowienie, które w niczem nie narusza praw niemieckich, które w niczem nie narusza praw niemieckich, pozostanie i nadal w mocy. Dziś wyciąga rząd ze zniesienia rozporządzeń językowych najdalsze konsekwencye, to też nic dziwnego, że w obozie czeskim na nowo wre i kipi.

Druga burza nadciąga od strony Słoweńców. W Marburgu stawał jako kandydat słoweński, radca dworu przy trybunale administracyjnym, pan Ploj. Nie często się zdarzy, żeby wysoki urzędnik państwowy w tak ostry sposób wystąpił przeciw rządowi. Pan Ploj oświadczył przedewszystkiem, że Słoweńcy nigdy i pod żadnym warunkiem nie mogą odłączyć się w Radzie państwa od Czechów, którym się dzieje krzywda.

Prawybory z piątej kuryi rokują socyalistom klęskę. Mandaty ich w Czechach są zagrożone, mandat zaś ołomuniecki i wschodnio-śląski stanowczo stracone. Wybory w piątej kuryi rozpoczynają się już dnia 10 grudnia i wypadną, zdaje się, na niekorzyść społecznego, ale na korzyść narodowego radykalizmu. Wszystkie większe stronnictwa konstatują w manifestach wyborczych upadek ekonomiczny państwa, jako następstwo obstrukcyi i wszystkie dają wyraz tęsknocie za ukończeniem walki politycznej, ale manifesty wydają przywódcy, masy ludu zaś wybierają radykalnych posłów. Nadto w trakcie walki wyborczej żądanie niemieckiego języka państwowego urosło do programowego znaczenia i czyni na razie wszelką ugodę niemożliwą.

Choroba cara.

Zasłabnięcie cara na tyfus brzuszny w Liwadyi daje w Rosyi powód do obaw poważnych. Pominąwszy już, iż tyfus brzuszny należy w ogóle do chorób ciężkich, trzeba jeszcze i to zważyć, że w Rosyi nie ogłaszają biuletynów, jeżeli nie idzie o groźny wypadek. Ponadto daje dużo do myślenia fakt, iż car zachorował na tyfus, w pośrodku swej krymskiej rezydencyi. Prawie uwierzyć trudno, że w Liwadyi panują tak fatalne stosunki hygieniczne, iż nawet osoba cara nie jest przeciw epidemii dostatecznie zabezpieczoną. Również do „Voss. Ztg.“ pisze wytrawny znawca stosunków rosyjskich: Ten fakt, iż w Liwadyi zdecydowano się ogłaszać biuletyny o stanie cara, a nie przemilczano zarazem o poważnem jego zasłabnięciu, każe wnosić, że tam lękają się po prostu o życie swego władcy. Można jednak o tyle więcej spodziewać się wyzdrowienia, iż jego organizm nie jest dawniejszemi chorobami osłabiony. Dla Rosyi byłoby nieszczęściem, gdyby choroba Mikołaja zły przebieg miała. Trzy jego córki nie mają do tronu prawa, który też w razie katastrofy przypadłby w udziale bratu cara, 32-letniemu W. ks. Michałowi Aleksandrowiczowi, chybaby carowa, znajdująca się obecnie w stanie błogosławionym, powiła syna. W takim jednak razie, nastąpiłaby długoletnia rejencya. Przypuszczają ogólnie, że car na długo jeszcze przed zasłabnięciem swojem rozważał ewentualność tego rodzaju i spisał swe postanowienia co do opieki i rejencyi. Ustawy domowe rodziny carskiej dają mu w tej mierze swobodę rozległą. O tyle bardziej jeszcze pożądanem jest, iżby choroba cara do bry

obrót wzięła, że nigdzie, jak właśnie w Rosyi, nie jest tak trudnem stanowisko następcy tronu-pogrobowca. We wszystkich bowiem kołach ludności panuje bujna tendencya do tworzenia legend, a nawet najdziwaczniejsze z nich znajdują dla tego wiarę, iż prasie nie wolno wdawać się w stosunki domu carskiego.

Rosya i Persya.

Korespondent z Teheranu „Korespondencyi Powszechnej“ pisze, że politycy perscy z wielką niecierpliwością oczekiwali powrotu szacha, w przekonaniu, że podróż po Europie wywarła na nim głębokie wrażenie, i że na szacha wywarło wielki wpływ świetne przyjęcie w Petersburgu; przypuszczają, że „rusyfikacya Persyi“ pójdzie po powrocie szacha szybciej, aniżeli dawniej. — Pierwszą oznaką tego kierunku polityki perskiej jest zaciągnięcie nowej pożyczki na 1 milion funtów szterlingów, która przeznaczoną jest na ufortyfikowanie portów zatoki Perskiej; część tej pożyczki pójdzie na kupno broni, następnie zaś rząd perski weźmie się energicznie do przekształcenia armii pod kierunkiem instruktora rosyjskiego. Jak pisze korespondent, Rosya do pewnego stopnia zmieniła swą politykę względem Persyi; jeszcze niedawno stawiała ona przeszkody wszelkim fortyfikacyom w Persyi; teraz zaś, kiedy zupełnie utrwaliła swój wpływ, zamierza dopomagać do rozwoju sił zbrojnych w Persyi, aby w razie gwałtownego konfliktu między interesami rosyjskiemi a angielskiemi na wybrzeżu zatoki Perskiej, kraj nie pozostał otwarty dla Anglików od strony Indyj. Korespondent mówi, że w ciągu ostatnich lat dziesięciu Rosya prowadziła wobec Persyi niezwykle konsekwentną i celową politykę; umiała ona czekać, zachęcać, pomagać i dawać uczuć swą potęgę, a wszystko to było robione we właściwej chwili. To samo próbowała zrobić i Anglia, lecz działała przy pomocy nieodpowiednich środków i nie umiała wybierać właściwych chwil. Obecnie wpływ angielski w Persyi zredukowany jest do zera, a temu winna jest sama dyplomacya angielska.

Z Chin.

Półurzędowi dziennikarze usiłują udowodnić światu, że mocarstwa, współdziałające w sprawie chińskiej, pracują w najlepszej harmonii. Od czasu jednak do czasu fakty zadają kłam temu „optymizmowi“ i tak, świeżo marszałek hr. Waldersee był zniewolony uskarżyć się u rosyjskiego ministra wojny na samowolę wojska rosyjskiego, które nie pytając o jego zdanie, jako wodza naczelnego, zaniechało pilnowania toru kolejowego z Taku do Tangszau. Z półurzędowej strony berlińskiej powiedziano, że wiadomość ta, ogłoszona przez prasę francuską, jest tendencyjną, nie udowodniono jednak, aby była fałszywą. Także Amerykanie nie przestrzegają ściśle „istniejącej harmonii“ i wyrażają się z naganą o postępowaniu hr. Waldersee, zmierzającego do rozszerzenia wypraw militarnych. Jeśli już teraz jednozgodność mocarstw pozostawia wiele do życzenia, to cóż będzie, skoro przyjdzie do rzeczywistych układów pokojowych? Pomimo równych postulatów i zasadniczej zgodności powstanie wtedy tyle szczegółowych i drobnych kwestyj, że należy mieć obawę, czy tę próbę przetrzyma koncert mocarstw cywilizowanych.

2 R.

Z Berlina.

(Dokończenie).

Od lat kilku istnieje w Berlinie „Komitet Towarzystw polskich“. Jest to instytucya, zawiązana w celu wytworzenia łączności i solidarności w sprawach obchodzących wszystkie towarzystwa zarówno. Do komitetu należą delegaci towarzystw, zazwyczaj prezesi. Kwestye, rozpatrywane na posiedzeniach komitetu, odbywających się co miesiąc, świadczą, że komitet jest instytucyą bardzo potrzebną i żywotną. Omawiano tam zazwyczaj sprawy takie, jak postawienie kandydata polskiego przy wyborach do parlamentu, urządzenie wieców polskich w sprawie nauki języka polskiego, obchodów mickiewiczowskich, urządzanie dorocznego święconego dla biedaków, wyznaczenie terminu dorocznej zabawy wszystkich towarzystw polskich, a wreszcie godzenie poważnionych towarzystw i czuwanie nad tem, aby żadne z towarzystw nie dopuszczało się jakichkolwiek wybryków, mogących szkodzić dobrej sławie kolonii polskiej.

Zwłaszcza na punkcie godzenia poważnionych towarzystw i zapobiegania tworzeniu się ciągle nowych odłamów, komitet ma przed sobą istną pracę syzyfową. Jest w Berlinie dość dużo towarzystw, mających pewne tradycye za sobą i niepospolite zasługi. Należałoby starać się tylko o to, aby towarzystwa te nadal mogły rozwijać się korzystnie, nabrać sił, powiększać liczbę członków, ulepszyć organizacyę i jednem słowem z coraz większym pożytkiem pracować dla społeczeństwa. Tymczasem coraz częściej dla zupełnie błachych sporów, wynikłych na gruncie osobistych niechęci, następuje w towarzystwie rozłam. Pewna część niezadowolonych zakłada nowe towarzystwo, stara się staremu szkodzić, odstręczyć mu członków, zepsuć dobrą sławę. Niech tylko przy wyborach pominą kogoś, komu się zdaje, że powinien być wybrany na prezesa, a wnet malkontent zbiera garść swych zwolenników i zakłada nowe towarzystwo. Powstają więc stąd intrygi, które trudno rozplątać, — sprzeczki, których niepodobna załagodzić. Każde nowopowstałe towarzystwo sprawia sobie naturalnie chorągiew, bo bez zewnętrznej pompy przecież istnieć by nie mogło, wyczerpuje zasoby na urządzanie zabaw lua przedstawień amatorskich, które kończą się potem deficytem, a w rezultacie pomawia inne towarzystwo o intrygowanie przeciw zabawie lub przedstawieniu i przypisuje mu swe straty. Wyczerpana kasa nie jest w stanie zaspokoić istotnych potrzeb towarzystwa, brak pieniędzy na elementarze, na gazety i książki. *Summa summarum* — duża liczba towarzystw, ale niewielka z nich pociecha, bo większość wegetuje tylko bez możliwości rozwoju.

Był czas, gdy komitet towarzystw chciał takim sprzeczkom i intrygom położyć koniec i objąć pewnego rodzaju jurysdykcyę nad towarzystwami. Niestety okazało się wkrótce, że zachwiać to może bytem samego komitetu, ale stosunków niezdrowych nie naprawi. Jeden wszakże dodatni rezultat odniosły te usiłowania: oto udało się wszystkie kółka i towarzystwa śpiewackie polskie połączyć w jedno wielkie towarzystwo „Harmonia“, które występuje ze śpiewem na rocznicach i obchodach innych towarzystw.

Bodaj czy nie ważniejszą kwestyę od godzenia zwaśnionych towarzystw ma komitet towarzystw przed sobą w postaci potrzeby zorganizowania łącznej opieki nad nędzą polską w Berlinie. Z roku na rok powiększa się liczba przyjeżdżających do Berlina Polaków bez żadnych środków utrzymania. Dla najbiedniejszych, nie mających gdzie przenocować, istnieje „Przytulisko“. Korzystają też z niego obficie. Lecz szerzy się także system „odwiedzania rodaków“ w ich mieszkaniach z prośbą o datek. Zgłaszający się są w większości przypadków niegodni wsparcia. Na posiedzeniu komitetu towarzystw opowiedział przewodniczący przykład charakterystyczny systematycznie uprawianego wyzysku przez „podróżujących Polaków“. Zgłosił się otóż do niego jakiś Polak, nie mający — wedle własnych słów — za co wrócić do kraju. Prezes komitetu, wzruszony jego opowiadaniem o przebytej nędzy, zdecydował się mu pomódz i kupić bilet do samego Poznania. Że zaś ostrożność nie zawadzi, nie wręczył mu pieniędzy do ręki, lecz posłał z pieniędzmi chłopca ze swego warsztatu, który miał polecenie kupienia biedakowi biletu i wyprawienia go w drogę. Chłopiec wywiązał się z polecenia skrupulatnie i podróżnego wsadził do pociągu, kupiwszy mu bilet do Poznania.

Jakież było zdziwienie ofiarodawcy, gdy nazajutrz wypadkowo spotkał na ulicy w Berlinie to samo indywiduum. Okazało się, że sprytny „podróżny Polak“ wysiadł na najbliższej stacyi jeszcze w Berlinie, sprzedał bilet za połowę, lub prosił o zwrot pieniędzy przy kasie, a sam dalej uprawiał proceder szukania pieniędzy na podróż.

A jednak nieopisaną jest nędza, panująca wśród istotnie powracających do kraju wychodźców, którym środki zazwyczaj starczą do Berlina, a w Berlinie ich łudzi nadzieja wystarania się o sposób powrotu do kraju.

Taka powrotna fala biedy i nędzy zalewa kolonię polską w Berlinie zazwyczaj w jesieni. „Przytulisko“ przepełnione, prywatne fundusze wyczerpane, a tu procesye biedaków krążą od domu do domu polskiego, lub — co gorsza — nieporadne i bezsilne dostarczają stolica najgorszych warstw proletaryatu. W jednym z jesiennych numerów *Dziennika Berlińskiego* znaleźliśmy poniższą charakterystyczną wzmiankę:

„Rodacy nasi, którzy przez lato pracowali na roli w stronach niemieckich, mianowicie w Saksonii, już obecnie powracają w strony rodzinne. Dworce zwłaszcza poczekalnie IV klasy są nimi przepełnione. Na noc tłoczą się tam w ciasnych lokalach i w ogromnym zaduchu setki mężczyzn, kobiet i dzieci. Urządzenie nz tutejszych stacyach domaga się stanowczo naprawy. Właśnie poczekalnie IV klasy, używane przez setki ludzi, są małe i ciasne“.

Naturalnie, że emigranci jeżdżą prawie wyłącznie czwartą klasą. Do wagonu, w którym nie ma ławek, wsiada z tobołami i węzełkami tyle osób, ile ich się tylko może zmieścić. Mężczyźni palą cygara i piją wódkę z kieszonkowych butelek, kobiety karmią dzieci, kłócą się i śpiewają. O takiej podróży, trwającej zwykle całą noc, nie ma pojęcia nikt, kto jej sam nie odbył.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

III.

„Ja wam się odpłacę."

Nazajutrz w całym Siekierzynie naturalnie o niczem innem nie mówiono, jak tylko o demonstracyi, skierowanej przeciw Danielewskiemu, widownią której był dworzec. Gimnazyaści na każdej pauzie opowiadali sobie rozmaite epizody i wrażenia poprzedzającego wieczora i znajdowali, iż jest zupełnie w porządku, że młody Danielewski się nie pokazał na pierwszych godzinach wykładów. Około dwunastej zaturkotały koła zajeżdżającego przed gmach gimnazyalny powozu, a z okien pierwszego piętra, gdzie znajdowała się sala prymanerów, dojrzeć było można, kto przyjechał. Był to stary Danielewski z synem. Stary wysiadł, młody pozostał w powozie.

Po chwili dały się słyszeć kroki na schodach. Siedzący w ławkach bliżej drzwi nadstawili ciekawie ucha, chcąc się przekonać, czy przypuszczenia ich były słuszne i czy Danielewski idzie do sekretaryatu, aby wypisać syna z gimnazyum siekierzyńskiego i odebrać jego papiery. Ale zdumienie odmalowało się na twarzach nadsłuchujących, gdy Danielewski minął drzwi sekretaryatu i kancelaryi, minął kilka dalszych sal i szedł dalej, zatrzymując się co parę kroków, widocznie w celu odczytywania napisów nad drzwiami. „Może się omylił i minął sekretaryat niechcący", myśleli uczniowie. Wreszcie Danielewski stanął przed drzwiami, prowadzącemi do gabinetu dyrektora... Uczniowie wyczuli wydelikaconym swym słuchem, że przystanął, przeczytał napis nad drzwiami i wreszcie wszedł.

Kilku uczniów, śledzących tę wędrówkę Danielewskiego po korytarzu, spojrzało na siebie, a niepewność i jakaś obawa odbiła się w ich spojrzeniach. Zaczęli szeptać — i okazało się, że wszyscy zauważyli to samo: nie ulega wątpliwości, iż Danielewski poszedł do dyrektora. Jeden drugiemu podawał tę wiadomość, aż wreszcie zniecierpliwiony nauczyciel języka francuskiego zaczął się złościć i w złości uderzał książką o katedrę.

Staś Beńkowski właśnie tłómaczył zadaną lekcyę, gdy jeden z kolegów szepnął mu za plecami: „Stary Danielewski jest teraz na konferencyi u dyrektora". Beńkowski nagle urwał w połowie zdania i zbladł. Na szczęście już kończył zadany ustęp i mógł usiąść. W jego głowie rozpoczął się jakiś dziwny chaos. Szumiało mu wciąż w uszach: „Konferuje z dyrektorem..." i pomyślał sobie, że on temu człowiekowi, co konferuje teraz, wołał wczoraj do ucha niemal: hańba! Co z tego wyniknie?" — i dziki chaos bezładnych pojęć opanowywał jego głowę. Przeszła długa, ciężka chwila..

Potem siedzący pod oknem uczniowie zauważyli, że ktoś z dyrekcyjnego okna zawołał młodego Danielewskiego, który natychmiast się podniósł, wysiadł z powozu i wszedł do wnętrza gmachu.

I znowu nadsłuchiwali koledzy jego, dokąd zmierzają jego kroki... Wszedł do gabinetu dyrektora.

Między uczniami wszczął się szept. Niejedno spojrzenie ze współczuciem, a zarazem i z ciekawością spoczęło na Beńkowskim, który siedział, podparłszy głowę ręką i przymknąwszy oczy. Czuli wszyscy, że zbliża się jakaś chwila krytyczna...

Drzwi korytarza wreszcie nagle się uchyliły i sam dyrektor, wsunąwszy głowę, zapytał głośno: „Czy Beńkowski jest dziś w klasie?"

„Jest" odrzekł nauczyciel, a Beńkowski, śmiertelnie blady, powstał.

Dyrektor się odezwał: „Beńkowski — proszę za mną" i głowa jego znikła za drzwiami. Pod Beńkowskim chwiały się nogi, gdy przechodził koło ławek kolegów. Niektórzy z nich ściskali mu rękę...

Gdy przestąpił próg klasy i znalazł się już na korytarzu, nagle opanowało go jakby znieczulenie, czy apatya, dość, że krokiem pewnym, choć sztywnym wszedł do gabinetu dyrektora. „Co oni mogą zrobić? — myślał. Wyrzucą mnie najwyżej".

W gabinecie dyrektorskim zastał obydwóch Danielewskich. Obojętnie przeszedł koło nich i zbliżył się do biurka dyrektora, który tymczasem wsiadł w fotel i zakładał binokle na nos.

„Proszę, niech pan siada, panie Beńkowski — rzekł z przyciskiem i z pewną ironią dyrektor — mamy z sobą do pomówienia". Beńkowski z tego wstępu poznał, że złe jego przeczucia nie myliły go i przygotował się na wszystko.

„Pan nie zna tych panów — ciągnął dyrektor dalej, wskazując na Danielewskich — że ich pan nie przywitał?"

— „To jest mój kolega", — odrzekł Beńkowski, wskazując na Władka — a tego pana poznałem dopiero wczoraj na dworcu kolejowym" — dorzucił z lekkim ukłonem w stronę Danielewskiego.

Na obecnych ta śmiałość zrobiła wrażenie.

„A, tak — rzekł dyrektor — pan wywołałeś zbiegowisko wczoraj na dworcu kolejowym i obraziłeś tego pana, pomimo że on jest ojcem pańskiego kolegi".

„Ja temu koledze nie podaję ręki" — przerwał szybko Beńkownki.

„Tak, tak, dobrze — ciągnął dalej jakby z rozmyślnym spokojem dyrektor, podczas gdy Władek z zaiskrzonemi z gniewu oczyma porwał się z krzesła — to nas nie obchodzi, jak wy się tam lubicie. Ale pan Danielewski czuje się obrażonym i m a s ł u s z n o ś ć" — podniesionym głosem wyrzekł dyrektor.

Beńkowski zaciął tylko usta.

Dyrektor mówił dalej: „Ze względu na nieszczęsne familijne położenie pańskie, panie Beńkowski, na ten raz zadowolnię się przeproszeniem, jakie pan wobec całej klasy złoży panu Danielewskiemu, o ile pan Danielewski uzna, że mu to wystarcza? — tu pytające spojrzenie zwrócił na Danielewskiego, który w milczeniu skinął głową. Dyrektor wstając, dodał „A więc chodźmy do klasy".

Lecz Beńkowski, jakby nie mogąc złapać tchu, urywanym głosem mówił, patrząc na Danielewskiego: „Moje stosunki familijne niech nikogo do litości nie pobudzają, bo one są tego rodzaju, że dumny z nich jestem... Miałem ojca, który wolał umrzeć, niż się zhańbić sprzedażą ziemi, jak ten oto pan.. Ja go nie przeproszę, bo nie ma za co".

Dyrektor ze zdumieniem słuchał tych słów. Potem na twarzy jego zarysowało się oburzenie. „Panie Beńkowski, — rzekł — niech pan do klasy już nie wraca. My tu dla agitatorów wielkopolskich nie mamy miejsca. Po papiery może się zgłosić pański opiekun choćby jutro".

Beńkowski ukłonił się i wyszedł. Szedł po korytarzu i schodził po schodach jakby machinalnie, bez czucia. Stanąwszy wreszcie na ulicy, zaczerpnął głęboko świeżego powietrza i skierował się ku jednej z ławek, stojących w pobliżu. Czuł potrzebę chwilowego oddania się uczuciu bezwładności, które go ogarniało.

Tymczasem obaj Danielewscy pozostali w gabinecie dyrektora. Trwało to długo, zanim wreszcie wyszli i, nie oglądając się na budynek gimnazyalny, wsiedli do powozu. Dyrektor odprowadził ich do schodów i kilkakrotnie serdecznie ściskał rękę młodego Danielewskiego. Ale znać było, że był strasznie zaalterowany. Stary Danielewski zaś był posępny i pociągnął syna za rękaw, gdy Włodek chciał się zawrócić i jeszcze kilka słów dorzucić dyrektorowi.

Po chwili powóz Danielewskich potoczył się w stronę Załęża, a dyrektor wrócił do swego gabinetu i długą chwilę rozmyślał.

Prymanerzy czekali z niepokojem na powrót Beńkowskiego, widząc odjeżdżających Danielewskich, lecz Beńkowski nie wracał. Natomiast jeden z uczniów dojrzał przez dziurkę od klucza nową postać, dążącą do drzwi dyrektorskiego gabinetu. Był to niejaki pan Korkiewicz, urzędniczek magistracki, zwany z niemiecka Korkewitsch (z naciskiem na pierwszej sylabie). Ujrzawszy go, uczniowie zaczęli szeptać między sobą: „Korek idzie! Kkorek idzie"!

Po tego otóż „Korka" posłał dyrektor po głębokim namyśle.

Korkiewicz był z tego znany uczniom, że dostarczał władzy szkolnej informacyi o prywatnych stosunkach uczniów, a przez urzędników pocztowych wiedział, kiedy i jakie książki i gazety przychodzą do rodzin, gdzie są uczniowie.

Pan Korkiewicz nie uchodził za złego człowieka. Wiedziano o faktach, kiedy np. przestrzegł rodziców jednego z gimnazyastów, aby ich syn nie prenumerował pod własnem nazwiskiem na poczcie pisma dla młodzieży „Teki", bo wywoła to złe skutki dla niego. Ze swej „misyi w wychowaniu młodzieży" — jak nazywał swe szpiclowskie zajęcie — nie robił tajemnicy: był to jego „urząd" i, jako taki, według

niego nie hańbił. Uczniowie go nie nienawidzili, bo krzywdy im nie robił. Zdarzało się nawet, że wracając nieraz w podpitym stanie z handelku, gdy spotkał którego ze starszych gimnazyastów, mówił: „Panie, panie — tego, co ja chciałem powiedzieć, — niech tam pan powie kolegom, aby nie chodzili na jutrzejszą zabawę publiczną. bo ja mam, panie tego, rozkaz, abym was pilnował“...

Była to figura nawpół komiczna. Starsi uczniowie brali go nieraz potajemnie „na piwo“, wlewali mu do piwa koniaki i spojonego odprowadzali do domu, gdzie go czekało bicie z rąk godnej małżonki, pani Kunegundy. Ta pani Kunegunda — Niemka — była właściwie przyczyną, że upadł tak nisko. Kobieta o złych popędach, wpędzała go w długi, z których dla człowieka, jak on, nie było wyjścia, chyba tylko opieka u hakatystów. W chwilach przytomności „Korek“ nazywał ją nieszczęściem swego żywota, ale w oczy jej tego nigdy nie powiedział. Stosunki jego z gimnazyum siekierzyńskiem zaczęły się od tego, że wziął uczniów na stancyę, aby niemi uzupełnić swoją skromną pensyjkę. Ale po paru miesiącach władza szkolna musiała mu odebrać pozwolenie na trzymanie uczniów, ponieważ pani Kunegunda bałamuciła w skandaliczny sposób wszystkich elewów. Wtedy dyrektor, mając na uwadze świeżo nadeszły właśnie z Berlina tajny cyrkularz w sprawie śledzenia gimnazyastów, zrobił panu Korkiewiczowi propozycyę, która została przyjętą. Wprawdzie potem Korkiewicz z rozpaczy pił, a wracając po pijanemu do domu bił się głośno na ulicy w piersi i wołał głośno: „Świnia jestem!“ — ale koniec końców brał miesięczną remuneracyę z funduszu dyspozycyjnego i co kilkanaście dni przychodził do dyrektora z relacyami.

Dyrektor zawezwał Korkiewicza telefonem z biura magistratu, a to nagłe zawezwanie niemało Korkiewicza przeraziło. Bał się, czy mu nie wypowiedzą służby, wyrzucał sobie przez drogę, że jego relacye były takie suche i beztreściwe, szczególniej w ostatnich czasach i przyrzekał w duchu poprawę. Wszedł ze drżeniem do gabinetu dyrektora. Dyrektor chodził wielkimi krokami po pokoju, gdy wsunął się „Korek“ dyskretnie dygnąwszy poprzednio.

„Ładnie mi się pan spisuje, panie Korkewicz!“ — odezwał się na samym wstępie dyrektor.

„Słucham pana dyrektora“ — wyrzekł Korkiewitsch, drżąc ze strachu.

„Tu polscy gimnazyaści mają jakieś tajne stowarzyszenie, bibliotekę, odczyty, kasę i dyabli wiedzą nie co — a pan nic nie wiesz! Oni czytają wspólnie gazety polityczne, urządzają demonstracye polityczne, a pan nic nie wiesz! To skandal! Na darmo pieniędzy skarb królewski nie wyrzuca!“

„To potwarz! to niecna potwarz panie dyrektorze“ — jęczał „Korek“.

— „Ja panu wskażę, gdzie się odbywają zebrania, gdzie jest biblioteka ich, czy co tam jeszcze: u piekarza Rudzkiego, gdzie mieszka Beńkowski!“ — zawołał dyrektor.

Pod Korkiewiczem uginały się nogi. „Ja gotów jestem wszystko zrobić, co pan dyrektor każe“, — wyjąkał strwożony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.

Kwestya kobieca na wystawie paryskiej.

(Z wrażeń osobistych).

I.

Autorami dotychczasowej cywilizacyi, a jednocześnie jej panami są bezsprzecznie mężczyźni. Kobiety, usuwane na plan drugorzędny, pozbawione inicyatywy, bez fachowej wiedzy, służyły zaledwie jako pomocnice przy budowie tego potężnego gmachu, który zowie się kulturą materyalną i umysłową ludzkości dzisiejszej. A tegoroczna wystawa międzynarodowa w Paryżu daje niezawodnie obraz kultury współczesnej, jest tak kolosalną, różnorodną w pomysłach, przygniatającą ogromem, tak chaotyczną i stłoczoną, jak jest nią dzisiejsza działalność zbiorowisk ludzkich. Wśród wrażeń, odbieranych zawsze prawie w tłumie, azatem i od tłumu niełatwo odnaleść zasadniczych i najważniejszych, trudno je usystematyzować, tak jak niepodobna często wydzielić roli jednostki czy grupy w tem współdziałaniu umysłowych i fizycznych wysiłków, które po obu stronach Sekwany wzniosły istne miasto pałaców, zaludniwszy je różnojęzyczną i różnobarwną ludnością, zapełniwszy produktami wszystkich sfer i klimatów. Tak samo trudno oddzielić pomocniczą pracę kobiet od męskiej. Statystyka zarobkowa i zawodowa więcej nam powie o pracy kobiecej w dziełach przemysłu, niż sam ich przegląd, praca bowiem bezimienna, a najczęściej i bezzasobowa, rola kółek ludzkiej maszyny, funkcyonujących tak długo, póki nie zastąpi ich urządzenie automatyczne. Ten międzynarodowy popis przecież, to obraz dzisiejszej wytwórczości, a o kierunku jej stanowi nietyle materyał pracowników, skierowanych odpowiednio do zapotrzebowania, co żądanie konsumentów i konsumentek. Można zatem określić mniej więcej udział kobiet, wpływ ich indywidualności, myśli, specyalnych potrzeb i celów, tak samo jak i uzdolnień. Gdyby mieszkaniec Marsa chciał wyrobić sobie pojęcie, czem jest kobieta wśród kultury naszego świata, sądzę, że, udając się na wystawę, niezgorszą wybrałby drogę, aby się o tem najkrótszym sposobem dowiedzieć.

A zatem najprzód figura paryżanki ponad wejściem głównem. To nie geniusz, ani anioł opiekuńczy, z tym klasycyzmem dawno już zerwali Francuzi, to raczej uprzejma, swobodna gospodyni domu zapraszająca gościnnie do wnętrza, przybrana w błękitną, ubraną futerkiem szatę. Na pomysł ten sarkano, a jednak to tylko konsekwentny wyraz nowoczesnej myśli. Przy wieczornem oświetleniu zarówno słupy ze szkieł kolorowych, jak wnętrze oryginalnego i obszernego przysionka, jak wreszcie postać paryżanki nabierają specyalnego uroku. O wieczór chodziło twórcom wystawy, nie o dzień. W dzień spieszy na wystawę specyalista zainteresowany w pewnym dziale, turysta, któremu chodzi zwykle o ilość katalogowanych wrażeń, codzienny widz, uważający zwiedzenie wystawy za obowiązek równie ważny, jak przeczytanie najnowszego romansu, lub świeżej gazety. Bawić się można tylko wieczorem, gdy magiczne refleksy setek tysięcy różnorodnych świateł wywołają nastrój odpowiedni, wieczorem snują się zakochane pary pod zielonem, przerywanem barwnemi kroplami świateł sklepieniem, i wieczorem też paryżanka wygląda uroczo, przystosowana do życia świateł sztucznych, podnieconej wyobraźni i zahypnotyzowanych nerwów.

Kobieta przewodniczyć musiała zabawie. Dziewięć dziesiątych t. zw. atrakcyj na rue de Paris wykonywują kobiety. Pałac tańca, pałac pieśni, orkiestry kobiece, taniec wsiowy zw. danse ou ventre, oto pola ich popisu. W ich rękach przeważnie zabawa przedenerwowanych paryżanów i wiele wdzięczniejszej publiki z prowincyi, one przyciągają wybrednych turystów, one sprowadzają deszcz złoty do kieszeni przedsiębiorców, którzy z zakłopotaniem spoglądają w przyszłość, gdyż niedoliczyli się i nie doliczą spodziewanych 50 milionów ticketów, a wśród ich posiadaczów mało zwolenników płatnych przyjemności. Kobieta, jako dostarczycielka rozkoszy, zabawy, przyjemności musi być na wystawie czynnikiem ważnym, gdyż jest nim wśród dzisiejszego świata, na każdej ulicy wielkiego miasta, za każdą rzęsiście oświetloną szybą.

Kobieta i światło sztuczne, te potężne podniety wrażliwości nowoczesnego człowieka połączyły się w teatrze Loie Fuller, gdzie na każde z dwóch codziennych przedstawień zdobywać trzeba z trudem słono płatne miejsca. Jasny, niski pawilonik w kształcie szałasu, pokrytego rozpiętą

NIEŚMIERTELNEMU.

Królu poetów! nasz wieszczy Adamie!
Czemu nie zejdziesz w Świętej Matki progi?
Tysiące przeszkód więzi nas i łamie
Dzielnice Polski dzierżą jeszcze wrogi;
A w tem zwątpieniu, bólach i rozterce,
W piersiach Twych braci obumiera serce,
Królu poetów! nasz wieszczy Adamie!

Królu poetów! Apostole Słowa!
Spojrzyj z obłoków na ojczyste łany,
Widzisz, tam świeci „Jasna Częstochowa“,
A w niej się modli lud Twój ukochany;
Wznieć w nas ten ogień, co pierś rozpłomienia
I zagrzmij hasłem: „Ramię do ramienia!“
Królu poetów! Apostole Słowa!

Na głos Twój, wieszczu, ze snu rozbudzeni,
Chwycimy może oręż, rdzą okryty,
I wśród pożogi, światła i płomieni,
Jako zwycięzcy, wzlecim nad błękity;
A potem zatkniem sztandar, krwią zbryzgany,
I „Matce Polsce“ pokruszym kajdany,
Na głos Twój, wieszczu, ze snu rozbudzeni.

Królu poetów! miłości kapłanie!
Zlituj się, zlituj nad niedolą ludu;
Niech pieśń Twa wzniosła hasłem mu się stanie,
Niechaj daremnie nie wygląda cudu.
Za sławy tyle i za serca tyle
Nie daj mu długo czekać na te chwile,
Królu poetów! Miłości kapłanie!



POMNIK ADAMA MICKIEWICZA W WARSZAWIE.

fałdzistą spódniczką kobiecą, służy za schronienie czarodziejce, która od lat już kilku po obu stronach oceanu wprawia publiczność w zachwyt migotaniem miękkiej, lśniącej, mienionej tysiącem barw i odcieni tkaniny, co dokoła drobnej jej postaci układa się w fantastyczne kształty. Dziś, gdy Loie Fuller znalazła dziesiątki naśladowczyń, przywołuje na pomoc reflektory świetlne, które oświecają ją naprzemian to słońcem ruchomych promieni, to lśniącą powietrznią, po której sypią się pulchne płaty śniegu, to znów żółto-złotemi listkami słonecznika, co w nieuchwytnym ruchu składa i rozkłada swój kwiatostan. Teatrzyk Loie Fuller świadczy o wykwintnym smaku i zdradza wrażliwość subtelną kobiety, umiejącej przemawiać do nowoczesnego widza. Maleńkie, malowane szybki wpuszczają odrobinę zaledwie dziennego światła, widownia skąpo oświetlona, loże wgłębione, tajemnicze, zawieszone, jak gniazdka, czy raczej jak wypikowane aksamitem pudełka do biżuteryi. A scena? Tancerka zająć może przez kilkanaście minut tylko uwagę publiczności, p. Fuller sprowadziła zatem najegzotyczniejszy a jednocześnie najbardziej realistyczny z teatrów, japoński, *clou* zabaw wystawowych. Sada Jacco, utalentowana aktorka japońska, zaciekawia i drażni delikatnym wdziękiem swych ruchów, czarem głosu, który niezrozumiałe dla europejskiego ucha wyrazy na mowę ogólno ludzką tłómaczyć się zdaje. Jej bogato malowane suknie wprowadzają nieznaną w Europie modę, tak jak gra japońskich artystów naiwną swą ekspresyą naprowadza na nowe drogi naszą teatralną rutynę. Widz zachwycony tą pełnią instynktów, a zatem życia, rzadko lub może nigdy nie widzianą na scenie, niezapomniane z teatrzyku Loie Fuller unosi wrażenie.

Po restauracyach, kawiarniach piwiarniach, herbaciarniach i innych pokrzepiających wędrowca instytucyach, uwija się na wystawie cały tłum kelnerek w różnobarwnych strojach, krótkich i długich spódniczkach, to w zalotnych francuskich czepeczkach u wiernego swym tradycyom Duvela, to we włoskich chusteczkach, lub holenderskich obciążonych metalowemi ozdobami bonetkach, to wreszcie prawdziwych, czy przebranych Turczynek, Japonek, Syngalezek, Dahomejek i t. p. A ten zastęp sprzedawczyń po kioskach, lub nawet po narodowych pawilonach? Bo zauważyć warto, że gdy w pawilonach zamożnych państw takich jak Anglia, lub Stany Zjednoczone urządzono wygodne *home* dla pokazania cudzoziemcom, jak się to mieszka, uboższe zbudowały pałace, w których przekupnie ich narodowosci sprzedać się starają jak najwięcej oryginalnych drobiazgów. Przeważnie kobiety i to ładne, a często niechętnie zdające resztę ze złotych monet, handlują w pawilonach Włoch, Turcyi, Grecyi, Bośnii i Hercogowiny, Szwecyi i innych.

Ale idźmy dalej do tych działów, które pracą, czy zapotrzebowaniem swojem stworzyła kobieta: Do tych należy niewątpliwie zbiorowa wystawa magazynów paryskich, arcyprzynęta pola marsowego, z przepychem strojów balowych i wieczorowych, z dyskretną elegancyą spacerowych tualet, w dzień nawet oświetlona elektrycznością. Te wystawy sklepowe, tak samo, jak znaczna część wystawy tkanin, służą zapotrzebowaniu kobiet. Gdyby nie kobiety zawiadujące gospodarstwem rodziny, nie byłoby niewątpliwie tego przepychu porcelany, szkieł, majoliki, które zapełniły znaczną część francuskiego i zagranicznego pałacu przemysłu. Patrząc na bogactwo kształtów i barw, na różnorodność użytku dywanów, makat, zasłon, portyer, obrusów i t. p. nie wiadomo, czy podziwiać doskonałość materyalnej kultury czasów naszych, czy też lękać się jej dalszego rozrostu. Jeżeli potrzeby nasze w tem samem tempie, co dziś, powiększać się będą, co do swej liczby, różnorodności, jeżeli coraz szersze warstwy, dochodząc do dobrobytu, coraz nowe przejawiać poczną wymagania, to ludzkości nie starczy nigdy sił na ich zaspokojenie. Materyalna kultura zaprzągłszy w swe usługi technikę, wzrastając co do ilości wytworów, pochłonąć może również cały zasób umiejętności i talentów, które służą celom idealnym. Ludzkość dąży dziś do dobrobytu, nie aby pozyskać więcej myśli i więcej czasu dla dóbr moralnych, lecz aby wysubtelniać i urozmaicać zadowolenie zmysłów. Potężnym czynnikiem w rozroście materyatnej kultury jest kobieta, występująca jako główna jej konsumentka. Jeżeli użytek przedmiotów zbytku zna równie dobrze mężczyzna, jak i kobieta, to wysoką swą elegancyę, wytworność i wykończenie zawdzięczają one przedewszystkiem wymaganiom i gustowi kobiety. W klasach zamożniejszych kobieta odsunięta od zarobkowego życia, wyswobodzona od tysiącznych robót domowych, dzięki rozwojowi nowoczesnego przemysłu staje się kapłanką szyku i elegancyi, pomnaża potrzeby swoje i rodziny i zwraca siły nowoczesnego przemysłu ku dwom bożkom: wytworności własnej tualety i urządzeń domowych. Już nietylko smak i skład samych potraw, ale ich podanie, nakrycie stołu i ozdoby jadalni, barwy i oświetlenia salonu, nastrój buduaru, czy sypialni — to problematy, które przy pomocy przeróżnych specyalistów rozwiązać się stara dama wielkiego, a zwłaszcza bogatego świata. Jestto niby praca dla rodziny, gdy druga część sił i myśli idzie na pracę dla siebie, ku ozdobie feszysza, zwanego własnem ciałem, by nadać mu wdzięk, elegancyę, wykwint i ową tajemniczą prostotę, które tak często biorą początek u krawców z *rue de la Paix*, w składach perfum i mydeł, w ręku fryzyera artysty i modniarki. Dla mniej zamożnych istnieć muszą wszelakiego rodzaju surogaty mody i wykwintu, na szukaniu i kombinowaniu ich schodzi życie niejednej kobiety, gdy życie milionów pracowników i pracownic spływa na wytwarzaniu produktów zaspokajających już nie istotne potrzeby, ale wymagania, wywołane przez stopę życiową klasy, czy grupy i wciąż zmienną modę.

(Dokończenie nastąpi).

Henryk Zbierzchowski.

DZWON.

Edward Grieg Op. 57 Nr. 6.

W dal siną, bezbrzeżną ma dusza się wlecze,
Stargana wichrami i burzą jesieni,
A za nią się snują rozpacze człowiecze
I jęk jakiś głuchy i echa przestrzeni.

Rozpięty nad światem niebiosów strop szary,
Jak dzwon tajemniczy w pomroków kościele
Olbrzymiem swem cielskiem zakrywa obszary,
Gdzie pustka na martwych ugorach się ściele.

Ma dusza się wlecze w dal siną i ciemną,
A kiedy ku górze wyciągnie ramiona,
Uderza o dzwonu kopułę tajemną
I znowu upada na ziemię i kona.

A wówczas dzwon świata, trącony u szczytów,
Wydaje dźwięk szklany, co rośnie i rośnie,
Przybywa mu jęków i płaczów, i zgrzytów,
I huczy w tej próżni, stężałej rozgłośnie.

Rozchodzi się w kręgi, w akordy się zmienia,
Aż wkońcu melodyą rozpaczną wybucha,
Co kryje w swej głębi tragedyę istnienia
I ból bezsłonecznych walk i wzlotów ducha.

Drga fala w niej dźwięków, kołyszą się krocie,
A pieśń, niby sępów żarłocznych gromada,
Z tajemnym poszumem czarnych skrzydeł w locie
Na duszę mą, z bolu konającą, spada.

Dźwięk gaśnie... dzwon świata zasępił się szary
I znowu w dal siną, bezbrzeżną i ciemną
Ma dusza się wlecze przez głuche obszary
Pod dzwonu olbrzyma kopułą tajemną.

TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).

Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)

Za to drugie towarzystwo, żywo, choć przyciszonym głosem rozmawiało. Wodził rej starościc, zwracając się niekiedy do Szubalskiego, który, milcząc, przysłuchiwał się co przyjaciel wykładał trzeciemu z nich. Ten był to siwiejący już mężczyzna o ogorzałej ostrych rysów twarzy, czarnych oczach, które spuszczone ponuro utkwił w ziemię. Imię jego znane było w całej Warszawie, ale nie tak głośno, jak znanem jest imię króla, lub najwyższego urzędnika, lecz tajemnie i pokryjomo, jak tajemną była sama osoba kozaka Semena. Nie raz i nie dwa poznano jego rękę w ułożeniu jakiegoś planu i wykonaniu. A zawsze była to sprawa niejasna i zawikłana i tylko nieobecność kilkudniowa w Warszawie i więcej, niż pierwej zacięte usta pozwalały domyślać się niebardzo czystego jego sumienia. Żył samotnie ale w łaskach u panów i w przyjaźni z ich dworem, cały oddany im na usługi.

„Jest to ważna osoba, mówił starościc, gdy słuchającemu wyłożył już całą politykę, z tej strony, z jakiej się jeszcze przedstawiała, na której zależy naszemu panu, aby nie było jej w stolicy. Krwią plamić się niechcemy. Poradź panie Semenie, co robić". Tytułował go panem, był to bowiem szlachcic polski a nazwany tylko dla swojej zaciętości i surowości w postępowaniu kozakiem, przez ludzi, którym ci dali się poznać z tej strony. Semen nie długo myślał: „Jest na to rada" rzekł po krótkiej chwili „ale czy ją przyjmiecie. Ot, nabrać pieniędzy i po przyjacielsku, wziąwszy osobę pod ręce, wozić ją po kraju. A jak przepadnie gdzie, to i lepiej, nikt teraz uwagi na to nie zwróci. Jeżeli to osoba znaczna, to warto tego sposobu użyć. Tak my już raz robili ną rozkaz ks. Repnina, z kim, nie powiem, bo zniknął jak kamień w wodzie!"

Karski klasnął w ręce i popatrzał na Szubalskiego, mówiąc:

„Wyśmienicie! pieniądze będą, bo to majętny pan, sam musi ich dostarczyć, jeżeli nie zechce zginąć z głodu, jak pies! Wyśmienicie!" powtórzył „zdrowie pana Semena, prawdziwym węgrzynem!"

Przy winie rozmowa szła żywo. Kozak dowiedział się, że osobą, którą chcą wywieść z Warszawy, jest pułkownik huzarów Paracki. I tak około północy rozeszli się wszyscy trzej do domu, zapewniwszy sobie tajemnicę u kozaka. Karski podwójnie był zadowolony, najpierw, że przysłuży się, powtóre, że usunie się ze stolicy, w której ajentowskie, nudne życie, jakie wiódł od kilku tygodni, niecierpliwić go już zaczynało.

VII.

Przy popołudniowej kawie siedział w swoim pokoju jadalnym N. w towarzystwie żony i córki, dwudziestoletniej panienki, owej w polskim stroju, siedzącej w powozie z rodzicami, którzy na pierwszym wstępie do Warszawy zwrócili na siebie uwagę starościca. Ojca poznał ten zaraz na drugi dzień po przedstawieniu się, przy blasku dziennym, a, że postać dziewczęcia w kontusiku utkwiła mu w pamięci, to też i z tem większą chęcią oddał się rozkazom przyjaciela Rzeczypospolitej. Ruchliwy, przystojny i dobrze wychowany,



ADAM i MARYLA.

a przedewszystkiem nie wiedzący, w jaką wpadł matnię, podobał się ambasadorowi, tak, że mimo całego grubiaństwa, jakiem się odznaczał w postępowaniu, traktował go na wieczornych wizytach nie, jak ajenta swego, ale jak wychowanego, wykształconego młodzieńca. A oprócz tego i starościca bliska znajomość nie była bez interesu dla Moskala: tenpotrafił charakteryzować doskonale swoich rodaków. ich przeszłość polityczną, ich obyczaje, ich stosunki domowe, wśród jakich żyli, tak, że ambasador, który z początku robił wrażenie silnego rzeźnika z dobremi i ostremi narzędziami do krajania, teraz z temi własnościami połączył także i biegłą znajomość składu ciała, do którego krajania miał przystąpić. Tak więc w krótkim czasie starościc stał się intelligentnym przedstawicielem władzy moskiewskiej w Polsce. On, w przeciwieństwie do zbirów, którym powierzono uwięzienie kochanki prymasa, a znaną przyjaciółkę Prus, znajdował się przy ich dowódcy, by zadaleko się nie posunęli, on też był obecnym przy tem, gdy chcącemu się za nią udać prymasowi wzbroniono wyjazdu, a w polskim stroju dziwnie odbijał od mundurów rosyjskich i nie jednego zdołał w błąd wprowadzić co do zamiarów Moskwy tem więcej, że głośna ta sprawa Podoskiego wprawiała samych Polaków w oburzenie. Przedtem jeszcze przypadek prosty pozwolił starościcowi wyrządzić prywatną usługą N., który dowiedziawszy się o stracie brylantowego pierścienia, następnego dnia przyniósł go małżonce ambasadora. Naturalnie, że, ponieważ nastraszony aresztem żyd, wiedząc już o służbie starościca pod moskiewskim znakiem, bez długiego wzbraniania się za pół ceny zwrócił klejnot, nie wielką to było zasługą Karskiego. Ale nie omieszkał przedstawić tę rzecz inaczej ambasadorowi, skoro chodziło i o własną opinię.

„Wybo..o..rny ten Karski", mówił właśnie do żony i córki N., które znały już starościca i zajmowały się nim jako młodym, interesującym człowiekiem. „Wyborny", powtórzył wysuwając nogi aż na drugi koniec stołu, z zadowoleniem zapalając cygaro po kawie; „pytam go, skąd przyszedł do pierścienia, a on spuszcza oczy i powiada, żeby to jego tajemnicą zostało. Pytam się i pytam, nareszcie przyznaje, że ma znajomego jubilera, który trudni się tajemnie taką robotą i jemu, słysząc o owej stracie, kazał za tanie pieniądze zrobić podobny pierścień. Prosi, żeby tylko nie sekować tego biedaka, a pierścień, żeby przyjąć, tak jakby to ten sam znaleziony, że takie rzeczy w Polsce za pół darmo sprzedają. Ah! ces drôles Polonais! No, ale w takich ciężkich czasach, toby głupstwem było nie przyjąć. N'est ce pas?" zapytał córki, która podawała mu drugą szklankę.

„Ale, mieć takiego lokaja, to zawsze pewną i bezpieczną jest rzeczą, można dużo zdziałać", ciągnął dalej, nie czekając na odpowiedź. „Kazałem mu wymyśleć teraz jakiś sposób, ażeby się pozbyć tego przeklętego Parackiego. Ciekaw jestem, czy padnie na myśl wyprowadzenia go za miasto i palnięcia mu, jak psu, w łeb. Toby jeszcze najlepiej było, a sam nie mogę mu tego powiedzieć. No, może coś lepszego poda, bo dłużej znieść nie mogę

tego buntownika a i majątek słyszę ma jakiś, to udałoby się zadrapnąć coś tego. I Karskiemu by się to przydało“.

„Proszę papy, a cóż ten pan Parucki zrobił takiego, żeby go zabijać“, zapytała teraz Amalia, piękna blondynka, o jasnych oczach, z grzywką nad czołem. „Parucki?“ przeciągle powtórzył papa „Sarucki jest konfederat i nie może zrozumieć, że jakby mnie w Holiu nie było, toby ich tutaj rozszarpano razem z tą lalką wojskową Poniatowskim i dlatego podburza wszystkich przeciw nam“.

„To proszę papy, możeby papa wytłumaczył to temu panu, tak jak panu Karskiemu. On musi dbać o ojczyznę i temu nie winien, jeżeli mu się zdaje, że i papa chce zrobić to samo z Polską, co ci dwaj panowie pruski i austryacki“ probowała się wstawić Amalia, mieszając go tem swoim spokojem i swoją wiarą w jego uczciwość.

„Ty moje dziecko na tem się nie rozumiesz“, odparł N. zakrywając się poprzednio gęstymi kłębami dymu. „Widzisz bo co innego pan Karski, to mądry człowiek i roztropny, a ten Paracki w wojsku nauczony tylko rąbać i myśli, że dyplomacya na nic się nie przyda“.

„Ja wiem proszę papy, że ja się na tem nie rozumiem, ale mnie się zdaje, że tak kogoś zabijać, tylko dlatego, że nierozumie się na dyplmoacyi, to niesłusznie. Może tatko by i mnie zabił za to, że ja tak myślę“, zapytała figlarnie.

„Nawet i ciebie“, odpowiedział ojciec, otaczając się nagle dla zakończenia rozmowy surowością urzędnika „nawet i ciebie, gdybyś robiła to, co robi Paracki. Ale mniejsza z tem — muszę was pożegnać moje panie, gdyż wiele mam jeszcze do roboty z depeszami“, po tych słowach zeszedł na dół do swego gabinetu.

W dwie godziny potem zjawił się starościc, przynosząc ciekawemu ambasadorowi ukartowany plan uwięzienia Parackiego i proponują siebie i Szubalskiego do jego wykonania. Ambasador był zadowolony z tego, tem więcej, że starościc zapowiedział, iż na ten czas występują ze służby — innymi słowy, iż przez ten czas nic go kosztować nie będą — gdyż Paracki sam będzie musiał dostarczyć pieniędzy. Nie podobało mu się tylko to, iż straci starościca. Ten jednak dwuzuacznik dał mu do zrozumienia — choć tego wcale nie zamierzał w rzeczywistości zrobić — że przy pierwszej lepszej sposobności zatrze wszelki ślad po Parackim. Pożegnali się więc, gdyż jak starościc zapowiedział, miała to być ostatnia bytność jego przed wyjazdem, N. życzył mu szczęśliwej podróży jak najrychlejszego powrotu przyczem podał mu rękę. Starościc brzęknął karabelą i wyszedł, ściskając w ręku dwa rulony srebra wsunięte mu przez ambasadora.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Władysław Witwicki.

Z LWOWSKIEJ WYSTAWY.

Warto było bywać w ostatnich czasach na naszej wystawie. Widziało się rzeczy oddawna we Lwowie nie oglądane; poznało się ludzi, którzy pierwszy raz u nas swe dzieła wystawili. Mieliśmy dawne, choć nie zastarzałe powagi: Fałata i Augustynowicza, oglądaliśmy starego Żmurkę i odwiecznego Reyznera, widzieliśmy młodego Ruszczyca, całkiem młodego Wysockiego i dorastającego Wachtla. Fałat kilkanaście akwarel przysłał z dawnych i z najnowszych czasów. Portrety i krajobrazy. I znowu widziało się w nim to, po czem się go w każdym obrazie pozna je. Nadzwyczaj szeroka technika, uderzająca plastyka w malowaniu głów, rysunek bez zarzutu prawie w każdym obrazie, w najdrobniejszym szkicu wydobyciu charakterystycznych cech głowy obpk pewnego nadużywania cynobru i palnego okru*) Te dwie barwy tak często się powtarzają na twarzach fałatowskich, że nasuwa się pewna wątpliwość, co do wierności ich kolorytu. Ale trudna rada, skoro artysta „tak widzi“. On ma tyle zalet, że mu tę wadę można i trzeba przebaczyć. Trzeba podziwiać jego talent, który z równą łatwością tworzy skończony portret i szkicuje znakomity krajobraz. W krajobrazach brał Fałat nieraz ogromnie trudne tematy, brał wnętrza lasów, zarośla, krzaki, ogrody, wielkie masy liści i gałęzi, rozpraszając światło w sposób ogromnie skomplikowany i wychodził z tego zazwyczaj z tryumfem zupełnym. Teraz wiszą u nas jego dwa wnętrza lasów. Oba w akwareli. Kto wie, co znaczy akwarela, kto wie, jakiej błyskawicznej obserwacyi wymaga ten sposób malowania, szczególnie przy tak śmiałej technice, jaką ma Fałat, kto wie, jak pewnej ręki potrzeba akwareliście i jak prędko taki obraz musi powstawać, kto widział, jak szybko zmieniają się oświetlenia w naturze, i jak się można zgubić w takiej masie wrażeń barwnych, jaką przedstawia oświetlony las ten oceni całą wartość tych akwarel, ten uzna wielkość talentu Fałata, tego zupełnie nie zdziwi sława, którą sobie ten człowiek zdobył. Tak jest! To nie Wilhelm II., to jego oko i ręka, zrobiły z niego wielkość dla tych, co go rozumieją. Ma on i swoje słabsze rzeczy, ale to są albo dawne twory, albo też obrazy robione nieuważnie, bez wielkiej pracy, tak, „żeby tylko zrobić“.

Do tych ten ogród należy przed domem, wiszący w ostatnim pokoju i szkic chłopski w żółtem tle przy oknie. Ogród z największej nawet odległości nie nabiera głębi, krzaki nie stają się wypukłe, a zieleń żywa, choćbyśmy tę rzecz w najdogodniejszych oglądali warunkach. Ale to dawne. To powinno było zostać w pracowni i zostałoby z pewnością, gdyby Fałat nie był dziś wielkim człowiekiem, ale dobijał się dopiero imienia i nazwiska. Chłopka w zielonej chustce na głowie ma rysunek czoła i linię czaszki tak bardzo fałszywą, że doprawdy nie wiedzieć, jak się to mogło wymknąć takiemu „Fałatowi“. Ale to znika wobec takich dzieł jak portret hr. Milewskiego i Brzozowskiego, o których zawiele dobrego nie można powiedzieć. Rzeczy skończone.

Ale przejdźmy do drugiej powagi. Augustynowicz. Znamy go już. Ten człowiek, co to swojego czasu wystawił kilkanaście portretów tak z tła wyskakujących, jak dotychczas żadne na naszej wystawie co to fiołkowej farby miał mieć zawiele, jak powiadano, człowiek, który w portrecie jest pierwszym chyba polskim artystą, malarz, który i dziś, mimo swojej sławy, nie kończy karyery, ale coraz to nowe obiera motywy, coraz to nowych technik próbuje. Ten nie ma jednej farby dla wszystkich modeli, on każdego zosobna studyuje. Wisi tam teraz jego portret młodego człowieka, doskonale rysowany, malowany, rzeźbiony i charakteryzowany a tem ciekawszy i cenniejszy, że artysta zrobił go zupełnie plastycznym, jakkolwiek nie pomagał sobie oświetleniem zgóry, które mu tak ułatwiało nadawania wypukłości jego dawniejszym głowom. Rzadko, doprawdy, można widzieć głowę tak wypukle malowaną w świetle rozproszonem. Ale Augustynowicz to umie. Co umie, to pokazał i w innych rzeczach, które na naszej wystawie miał w ostatnich tygodniach. Jest tam główka chłopaka wiejskiego, żółtawo oliwkowej cery, doskonała ze wszech miar akwarela, rzecz świadcząca o tem, jak ten malarz umie zmieniać kolory ze zmianą modelu, jak on nie zaprawia swych barw pewnym stałym kolorem, jak nie posiada szablonu ale za każdym razem obserwuje i maluje nanowo. Był tam i jego chłop, pasący gęsi. Taki prawdziwy i tak wiernie odtworzony, że jak z jednej strony wstręt brał do modelu, tak z drugiej zabrakło słów uznania dla malarza. — Prócz tych rzeczy figuralnych są tam i krajobrazy Augustynowicza. Nie pierwsze to jego dzieło w tym rodzaju i pewnie nieostatnie. Dawniejsze nie wypadały najlepiej — dzisiejsze świadczą o tem, że malarz „uwziął“ się do pejsarzu i postawił na swojem. W alei „empire“ dał prespektywę, dał światło, — miał trudności z trawą, wypukłością konarów i masami liści — ale obraz skończył. Przesadził trochę w błękitnym dachu na cerkwi, poniżej zresztą zupełnie dobrej, ale za to gdzieindziej chatę w słońcu wymalował doskonale. Pokazał, że gdy zechce, to i pejzaż zrobi. Udało mu się zupełnie. Augustynowicz jest wielki — o tem się już wiedziało ale że Ruszczyc jest wielki, o tem się Lwowianie dopiero przekonali. Jego ruiuy zamku nad wodą trochę zastanawiły ludzi. Coś było niezwykłego w tym obrazie. Przedewszystkiem brak samych ruin. Niespodzianie uderzało to, że artysta zamiast w stary sposób postawić w środku obrazu zamczysko na niedostępnej skale, pod tem poprowadzić rzeczkę i trzódkę bydła puścić z pastuszkiem w zaroślach, obciął po japońsku pole widzenia i to, co w niem zamknął wymalował poprawnie i efektownie. Trzeba się jednak do tego przyzwyczaić i pozwolić artyście, żeby malował, co mu się podoba i jak mu się podoba, byleby oczu nie raził i umiał trzymać pędzel w ręku. A to Ruszczyc potrafi. Śnieg u niego malowany doskonale i zgodnie z prawdą.

(Dokończenie nastąpi).

*) Dla niewtajemniczonych należy dodać, że cynober, to farba koloru gotowanych raków, a palony oker przypomina kolorem powidła.

Bertold Menkes.

PRZEGLĄD PISM.

(Symbole — Nekrolog — Przyczynek do popularyzowania wielkich ludzi).

Są słowa, które wszyscy z lubością wypowiadają, chociaż ich nie rozumieją. Sądzą, iż w ten sposób zrobią wrażenie ludzi uczonych, iż zaimponują swemu otoczeniu. Jednem z takich słów, które bezkarnie wiedzie się w harce słowne, jest — symbol... Powiadam „bezkarnie“, bo mało jest takich, którzyby jasno sobie zdając sprawę z tego pojęcia, mogli zaoponować używającym go fałszywie. To też bardzo wdzięczny byłem fejletoniście, kiedy w jednym z ostatnich numerów warsz. *Prawdy* pojęciu symbolu dał wyraz bardzo pochwytny, nawet — że tak powiem — popularny. Wnioski, które „Poseł Prawdy“ buduje na podstawie swych przedwstępnych wywodów, mało mię tu obchodzą; biorę pod uwagę to, co o samym symbolu mówi. Otóż:

„Życie jest tkaniną myśli i uczuć, której nici tworzą obrazy symbolów“.

Zdanie to na pozór mało zrozumiałe — bo obrazowe. Z niego czytelnik nie wiele się dowie o istocie symbolu. Definicya nie może bowiem być obrazową, porównaniem, gdyż — jak wiadomo — każde, choćby najlepsze porównanie kuleje...

Ale darujmy Posłowi Prawdy chętkę zdefiniowania symbolu. Posłuchajmy, jakich przykładów używa, aby czytelnikowi uprzystępnić zrozumienie tego pojęcia. Metoda jego w tym wypadku najracyonalniejsza: z danych przykładów myślący czytelnik sam nabiera przekonania o istocie rzeczy, jakkolwiek nie ma dla tego przekonania wyrazu słownego ścisłego i krótkiego.

Jako pierwszy przykład służy tedy Posłowi Prawdy następujący fakt:

„Kiedyś znalazłem się na zebraniu poświęconem uczczeniu pamięci wielkiego poety. Przez pierwszą godzinę obecni mówili o jego utworach, deklamowali z nich ustępy, przypominali sobie szczegóły jego żywota; pomału wszakże zaczęli rozprawiać o danych przedmiotach, spierać się, dowcipkować, wreszcie zasiedli do kolacyi, po której większość rozeszła się do domów, a reszta przesypała sobie garść anegdot lub odegrała kilka partyj preferansa. Nazajutrz widziałem tych samych ludzi wobec pustej trumny na katafalku przystrojonym kwiatami podczas nabożeństwa za duszę tegoż poety. Zupełnie inni: poważni, smutni, rzeczywiście wzruszeni, wdzięcznością i żalem. Sześć zbitych razem czarnych desek dało im podniosły nastrój. Mieli przed oczami nie wspomnienie, nie myśl, nie ideę, ale symbol“.

Wspaniały ten przykład wystarcza już, aby rozświetlić w naszym umyśle pojęcie symbolu. Ale może nie wystarcza? Poseł Prawdy daje ich jeszcze kilka; każdy następny trafniejszy od poprzedniego:

„Corocznie królowa angielska otrzymuje dwie paczki gwoździ i młotek, jako należny jej czynsz za kawałek gruntu w Londynie, darmo zabudowanego. Gdyby jakikolwiek minister ośmielił się zaproponować jej, ażeby się zrzekła tego dziecinnego daru, spojrzałaby na niego równie zdumiona, jak gdyby jej radził, ażeby zrzekła się zwierzchnictwa nad Kaplandem.

Znałem męża bardzo przywiązanego do swej żony, która odwzajemniała mu się głęboką i stałą miłością: przetrwali oni rozmaite burze, targające ich związkiem, i byli pewni, że on nigdy nie pęknie. Ale gdy ów mąż po 30 latach pożycia zgubił ślubną obrączkę, zwątpił o trwałości swego szczęścia małżeńskiego i nigdy już swej dawnej wiary nie odzyskał“.

Na podstawie tych i wielu innych przykładów dochodzi się do wniosku, że o symbol nie trudno, że symbol nie tkwi, jak dotychczas mniemano, jedynie w sferze i mózgach literatów, i to tych nieprzystępnych ogółowi, bo... „symbolistycznych“.

A teraz przypuśćmy za Posłem Prawdy, coby się stało, gdybyśmy stracili nagle wszystkie symbole. Ludzie osłupieliby, oniemieli, stracili sprężyny ruchu i punkty oparcia dla swych dążeń, nie wiedzieliby, co myśleć i co czuć. Jeżeliby zaś z tego ich pognębienia wydobył się jakiś krzyk rozpaczliwy, to chyba ten: zabierzcie wszystkie idee, wszystkie przekonania, zasady, prawdy, reguły, a zostawcie nam tylko widome ich znaki.



SŁUŻALSKI U ZWŁOK A. MICKIEWICZA W KONSTANTYNOPOLU.

Ot, i definicya. Sam Poseł Prawdy nam ją wskazał.

Świadomość widomych znaków idei, przekonań, zasad, prawd, reguł i t. d. jest ich symbolem.

* * *

Narodziło się *„Życie“*. Ludwik Szczepański utorował mu drogę żywota, chrzestną matką mu była Gabryela Zapolska, a kierownikiem ligi zaczepno-odpornej Artur Górski. Cóż mu więcej trzeba było? Miało ojca, matkę, obrońcę?

Pisklę zaczęło się miotać ponad siły — upadło... Już wrony dziennikarskie poczęły nad nieborakiem krakać hymn pogrzebowy... Wtem! Gwiazda spada! — — „Mistrz“ zjeżdża z obczyzny, upadające „Życie“ stawia na nogi i poczyna weń dmuchać z całych sił. Cóż — kiedy przeholował... Tyle w schorzały organizm wetchnął swego „ja“, tak je przepoił swą indywidualnością, iż zachorowało na „chorobę Przybyszewskiego“. (Polega ona na obkradaniu pomysłów i formy zewnętrznej swego nazwiskodawcy). Biedaczysko! Zaczęło kaszleć... ideami „mistrza“, pluć krwią... „mistrza“, czuć je było na każdym kroku... „mistrzem“. Udusiło się wreszcie w tych oparach.

„Życie“ umarło — ale *„Młodość“* się narodziła. „Mistrza“ nie stało; zostali jego uczniowie, wszyscy chorzy na powyższą chorobę. „Młodość“ stała się szpitalem, w którym swobodnie się rozwijały bakcyle chorobotwórcze. Ale jak wiadomo, bakcyl sam długo istnieć nie może. Musi się go przeszczepić w zdrowe ciało. A ciała takiego nie było. Nie było prenumeratorów, nie było czytelników. Zostały same ciotki, kuzynki i kochanki licznych redaktorów.. A to mało... strasznie mało...

Wreszcie i „Młodość“ umarła...

Pokój jej popiołom!

* * *

Pan Henryk Cepnik, współpracownik *Wiadomości artystycznych*, jest bardzo rozżalony na swych czytelników. Może, że niezbyt nań zwracają uwagi, może... — a zresztą, kto go tam wie! Otóż nagle uczuł wielką potrzebę „zbesztania“ wszystkich dokoła siebie. I w jednym z ostatnich numerów tego pisma, ozwał się w te słowa:

„Szanowna P. T. Publiczności!

Wiem, jestem nawet jak najmocniej o tem przekonany, że się na mnie pogniewasz. Lecz z tego jeszcze nie wynika, ażebym Ci nie miał powiedzieć, co myślę o Tobie...“

Przedewszystkiem oducz się frazeologii i nie mów o rzeczach, których istoty i znaczenia najczęściej nie rozumiesz...

Zastanów się, bo sama nie wiesz, co mówisz! Ty która w rzeczach sztuki nie znasz abecadła...

U Ciebie jest atmosfera duszna i ciężka, przesycona miazmatami banalności, głupota nawet...

Zaiste, alboś ogromnie naïwna, albo szalenie zarozumiała... i t. d., i t. d.

Panie Cepnik! Panie Henryku, współpracowniku pisma, przeznaczonego dla tej przez Ciebie potwarzonej „P. T. Publiczności“, co sobie Pan właściwie myślisz? Bo, jeśli Hermann Bahr w tym duchu (tylko bez tego pogardliwego tonu) do publiczności się odzywa — pojmuję i nie dziwię się. Bo to Hermann Bahr. Ale Henryk Cepnik?...

Ale zostawmy panu Cepnikowi jego pogardę dla „P. T. Publiczności“. Pan Cepnik występuje przeciw łączeniu pojęć: „sztuka dla sztuki“ i „sztuka narodowa“.

„Sztuka dla sztuki“ i „sztuka narodowa“ razem, w jednym i tym samym teatrze pod jednym i tym samym dachem — to przecież nonsens“.

A to co? Paradoks, czy głupstwo? A „Lelewel“ Wyspiańskiego, czy nie jest sztuką nawskroś narodową, a przytem tak artystyczną? Kpi p. Cepnik, czy o drogę pyta?

Nie ma z nim co polemizować. Sam się sobie sprzeciwia, sam się zbija.

W tym samym numerze Wiadomości zamieszcza pan Cepnik garść „oryginalnych“ aforyzmów, z pomiędzy których jeden zwłaszcza jest bardzo charakterystycznym:

„Popularnym jest także ten, z którego drwią sobie“.

P. Cepnik winien być bardzo popularnym.

Bronisław Twardowski.

Kilka słów publicznego protestu.

Z powodu świeżo wydanych „Pamiętników" Bobrowskiego.

Z początkiem roku bieżącego wydane zostały we Lwowie „Pamiętniki" Bobrowskiego w 2 tomach. Autor tego pamiętnika, Tadeusz Bobrowski, przepędził życie częścią na Podolu i Ukrainie, częścią w Petersburgu, gdzie uczęszczał do uniwersytetu na wydział prawny; za życia nic nigdy nie wydawał, w literaturze był zupełnie nieznany, a tylko w dość szerokiem kole ziemian i inteligencyi kraju cieszył się w drugiej połowie swego życia sławą rozjemcy i kompromisarza w sprawach działów rodzinnych, majątkowych i t. d. Miał sobie powierzone przeprowadzenie kilkunastu opiek nad fortuną nieletnich lub zbankrutowanych właścicieli ziemskich. Wspólnie z kilkunastu obywatelami z kraju Południowo-Zachodniego był powołany do opracowania projektu przeprowadzenia reformy włościańskiej, lecz prace tego komitetu nie mogły się zrealizować i przedstawiają dziś tylko wartość archiwalną, gdyż cała reforma w drodze prawodawczej przez rząd została uregulowaną.

Wskutek przenoszenia się rodziców z jednego miejsca pobytu na drugie, w guberniach zachodnich, Bobrowski znał ludzi i słyszał o nich; następnie bogate ożenienie się dało mu byt niezależny. Wygody i stosunki liczniejsze, a nareszcie branie udziału w sprawach polubownych z kilku wybitniejszymi obywatelami, nastręczyło mu sposobność poznania jeszcze więcej ludzi i ich życia prywatnego. Po zniesieniu praw wyborczych szlachty, przysłano do przeprowadzenia zmian kardynalnych w administracyi kraju Południowo-Zachodniego niektórych kolegów, lub znajomych z czasów wniwersyteckich w Petersburgu Bobrowskiego, którzy radzi byli go widzieć; i tu więc zyskał pewną popularność. Wszystko to dało mu dużo wspomnień, które, mając wyjątkową do tego pamięć, spisał i ułożył w formę anegdot „Pamiętnika".

Są kwiaty, rośliny, płazy, zwierzęta nareszcie, mające własności trujące, lub wydzielające z siebie jad szkodliwy. Po tych, lub innych znakach, ludzie poznają niebezpieczeństwo i starają się go uniknąć. Lecz jak poznać i odgadnąć zamiary człowieka, który, zyskawszy pewną popularność w społeczeństwie, sporo lat siedemdziesięcioletniego prawie życia na to poświęcił, aby spisać swoje wrażenia w formie najcyniczniejszego paszkwilu, nazwanego „pamiętnikiem"? Gdyż jak powiedzieć inaczej o zbiorze głównie anegdot, wersyj, plotek, brudów rozmaitych, nie mających nic a nic wspólnego z życiem społecznem kraju, w którym autor przebywał?

Do prywatnego życia ludzi nikt się wdzierać nie powinien, popiołów poruszać nie godzi się, jeżeli to nie były sprawy i wykroczenia przeciw krajowi, społeczeństwu. Opierać na dowodach takich, jak: „powiadają", lub „słyszałem gdzieś od nieboszczyków", na plotkach, godnych przekupek, szarpać cnotę naszych babek i prababek; wielu ludzi uczciwych i zacnych, żyjących dziś jeszcze, dotknąć boleśnie, niesłusznie i najczęściej niesprawiedliwie, szkalując pamięć ich ojców, a poruczyć ogłoszenie drukiem swoich tego rodzaju pamiętników w pięć lat po śmierci, gdy się już leży w grobie i odpowiedzialność dosięgnąć nie może, czyż to uczciwe?

Wydawnictwa takie, jak „Pamiętniki" Bobrowskiego, drukowane w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie, kosztem złożonego na ten cel przez autora, nieboszczyka, funduszu, wstydem są dla społeczeństwa, którego językiem posługiwano się dla tego paszkwilu, i byłyby znamieniem zupełnego upadku moralnego młodszego od Bobrowskiego pokolenia, gdyby ono protestu swego przeciw podobnym wydawnictwom nie wyraziło.

Cyniczne i wprost nieprzyzwoite anegdotki kursowały tylko w ciasnych kółkach wesołych męskich kompanijek podczas libacyi po gabinetach restauracyjnych, ploteczki o sąsiadach zawsze miały pole do popisu między kumoszkami i dewotkami miasteczkowemi; wiadomości podejrzanej wartości i dawniej można było czerpać i zbierać od wędrownych pieczeniarzy i „miszuresów" z zajazdów jarmarkowskich; paszkwile w formie wierszyków mniej, lub więcej dowcipnych, kursowały nieraz po rozmaitych okolicach, wystawiając bezimiennie śmieszną stronę tylko niektórych ludzi, ale nie szarpiąc nigdy dobrej sławy niczyjej. Ale była też opinia publiczna, sąd obywatelski, które wykroczenia przeciw uczciwości, krajowi, społeczeństwu jawnie i publicznie piętnowały. Ale nikomu nigdy nie przychodziło na myśl życie w to włożyć, aby zbierać brudne anegdoty, wsłuchiwać się w garderobiane plotki, spisywać wersye erotyczne, epizody i przejścia, od wielu lat zapomniane, szarpiąc niesłusznie pamięć masy kobiet niezasługujących najczęściej na to, a wszystko ułożywszy w nieudolną całość, przepleść niektóremi faktami, mogącemi w innych warunkach mieć może jakąś odrobinę historycznej, literackiej, lub archiwalnej wartości, ogłosić to drukiem, jako pamiętnik pracowitego życia ku zbudowaniu młodszych od siebie pokoleń; to uczynił Tadeusz Bobrowski, a wydawcy, przyjaciele, wypuszczając w pięć lat po jego śmierci tę pracę, czy przysporzyli tem czci dla jego pamięci i nie rzucili na nią fatalnego cienia? A wydawca, Biblioteka Ossolińskich, czy nie skrzywiła celów swojego szlachetnego założyciela?

(Dokończenie nastąpi.)

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

Pieśń od wieków panuje we Włoszech udzielnie. Począwszy od figlarnych obdartusów „lazaronów", melancholijnych „gondolierów", śpiewaków wędrownych, tłoczących się po kawiarniach całej Europy, panuje ona wszechwładnie od Alp do Sycylii. Co rok rozłażą się z muzykalnego buta tysiące włoskich śpiewaków po świecie, szerząc nawet u niemuzykalnych Amerykanów zamiłowanie „pieśni". Kto z nas nie widział tej charakterystycznej a tak sympatycznej postaci włoskiego wędrownego basa, który drżącym i zerwanym głosem śpiewa barbarzyńcom w kawiarni, nieśmiertelne „Santa Lucia" a oczy ma wtedy tak bardzo wilgotne, smutne i świecące...

Verdi to właśnie taki genialny śpiewak lombardzki, którego wykołysała pieśń na swoich falach, łączący w sobie wszystkie zalety i błędy swego szczepu, a wielki przez to, że w muzyce swojej dał syntezę tego, co muzyka włoska operowa do jego czasów stworzyła. Niezwykle pracowity i płodny aż do śmieszności, co rok z urzędu darzył swą ojczyznę jedną operą, z których urosła poważna liczba 30. Urodzony w roku 1813, studyuje muzykę w Medyolanie, gdzie wystawił z nadzwyczajnem powodzeniem pierwszą swą operę „Oberto Conte di san Bonifazio" — w twórczości jego wyraźniej odróżnić się dadzą trzy fazy. Pierwsza, najpłodniejsza, obejmuje prawie 16 oper, które są pisane w staro-włoskim stylu, bardzo skromnie i prymitywnie instrumentowane, a pełne ckliwych melodyj. Powoli pod wpływem Gounoda, Mayerbeera, a nakoniec i Wagnera szlachetnieje Verdi coraz bardziej, pozbawiając się banalnego stretta i katarynkowego traktowania orkiestry.

To drugi okres. Trzy opery z tego czasu Rigoletto, Trovatore i Traviata (1855) do dziś dnia utrzymują się na repertuarze. Aida i Ottelo najpiękniejsze dzieła Verdiego nie są w niczem podobne do tych początkowych Nabucodonozorów, Ernanich i t. p. Niezmiernie melodyjne (bo Verdi całe życie trzymał się zasady „La melodia e il canto devono essere le piu grave cose in mondo") świetne pod względem instrumentacyi, są one najbardziej ulubionemi przez publiczność i śpiewaków. Wielkie oratoryum „Requiem" i opera komiczna „Falstaff" kończą twórczość sędziwego mistrza.

W ubiegłym tygodniu słyszeliśmy „Rigolleta", a w niem pierwszy raz p. Grąbczewskiego. Inteligentny ten artysta zachwycał nas swoją znakomitą grą, wyraźną dykcyą i zrozumieniem partyi. Szkoda tylko, że głos p. Grąbczewskiego nie posiada dźwięku barytonowego, lecz raczej tenorowy, który w wysokich tonach brzmi nieprzyjemnie. W każdym razie jest pan Grąbczewski wielkim artystą i w „Rigollecie" sprawił nam prawdziwą ucztę artystyczną.

P. Korolewicz (Gilda) była tak płaczliwie nieprzyjemną i sentymentalną, że chwilami doprowadzała nas do rozpaczy. Prócz kilku momentów szczęśliwych (kwartet w III. akcie), cała partya wyszła w jej interpretacyi mdło i nieładnie. A o koloraturze, która u tej śpiewaczki jest czemś bardzo prymitywnem, wolę nie mówić. P. Dzewiecki zasługuje tym razem na gorące słowa pochwały za partyę księcia. Ogromna łatwość w wysokich tonach, inteligencya muzyczna, a przedewszystkiem zapał i siła młodzieńcza w traktowaniu swej partyi, złożyły się na całość bardzo piękną i sympatyczną. Możemy artyście pogratulować za niezwykły a słuszny sukces ze strony publiczności, choć krytyka nasza obeszła się z nim po macoszemu. P. Paszkowski i Jeromin byli, jak zawsze, bez zarzutu.

Niezwykła piękność głosu p. Schuppównej zmusza mię, chcąc nie chcąc do zamilczenia o niestosownem operetkowem traktowaniu przez nią partyi, która powinna się była dostać w ręce alta, stanowiącego przecież w kwartecie podkład harmonii. Orkiestra pod batutą p. Czelańskiego, odegrała świetnie introdukcye przed aktami i scenę burzy w ostatnim akcie, dowodząc znowu sumiennego i artystycznego opracowania. Tylko forte w finałach było trochę zawielkie i wskutek tego przeważała orkiestra znacznie nad ostatniemi frazami chóru. Akompaniament do aryi prowadził p. Czelański dyskretnie i niezwykle pięknie w frazowaniu, za co mu przedewszystkiem śpiewacy powinni być wdzięczni.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.